

NARODOWCY – PIERWSZE POKOLENIE

Z KRZYSZTOFEM KAWALCEM, WOJCIECHEM MUSZYŃSKIM
I JANEM ŻARYNEM ROZMAWIA BARBARA POLAK

U ŹRÓDEŁ

B.P. – Ruch narodowy ma swój początek w czasie dość odległym, w XIX wieku. Jaki zatem jest rodowód polskiej myśli narodowej?



K.K. – Praktycznie całe nowoczesne życie polityczne wzięło swój początek gdzieś w latach 80. i 90. XIX wieku, w obrębie generacji, dla której Bohdan Cywiński ukuł określenie „niepokorni”. Różniło ich bardzo wiele, przede wszystkim poglądy, stąd „niepokorni” dali początek rozbieżnym nurtom politycznym – wśród nich byli ludowcy, socjaliści i „endecy”. Wspólny był etos bezinteresownej pracy w służbie społeczeństwa i sprzeciw wobec zastanej rzeczywistości. I jeszcze jedna rzecz, właściwie najważniejsza – umiejętność docierania do

mas i zrozumienie tego, że polityka musi być oparta na masowych emocjach i nastrojach. Ruch narodowy znakomicie mieścił się w tej formule. Zarówno Jan Ludwik Popławski, starszy nieco, jak i Zygmunt Balicki, a przede wszystkim Roman Dmowski, należeli do tej generacji. Tym, co przesądziło o znaczeniu środowiska, było wypracowanie formuły ideologicznej, która na gruncie polskim stanowiła odpowiednik doktryny „integralnego



Fot. ze zbiorów W. Rowińskiego

Działacze Ligi Narodowej i Związku Młodzieży Polskiej „Zet” w Krakowie w 1907 r.

nacjonalizmu” – będącego zjawiskiem europejskim. Nie było to jednak tylko zastosowanie w warunkach polskich znanej szerzej doktryny. Był to duży, masowy, silnie zakorzeniony ruch społeczny, który potrafił wejść głęboko w tkankę społeczną i działać efektywnie, choć do czasu nielegalnie, w trudnych warunkach.

B.P. – A jednocześnie od początku napotykający bardzo silną opozycję polityczną. Wydawałoby się, że idea jest oczywista, szczególnie wówczas, przed odzyskaniem niepodległości, a już napotykała znaczny opór. Jakie więc były źródła tej niechęci?

K.K. – Myślę, że przede wszystkim to, iż ruch wkraczał na pola zagospodarowane już przez inne środowiska polityczne, wyrastał w walce. Antagonizm polityczny był pierwotny, nasilające się obiekcje ideologiczne wydają się zjawiskiem wtórnym. Było kilka wielkich „frontów”, na których ruch walczył. Początkowo, w związku z niezgodą na niewolę, atakował środowiska ugodowe, czyli w praktyce ówczesny establishment polityczny. Drugi „front” walki wynikał z – zaznaczającej się z coraz większą siłą – tendencji do zwalczania socjalizmu. Początkowo dotyczyło zresztą właściwie jedynie socjali- zmu międzynarodowego: aż do rewolucji 1905 r. stosunki między ruchem narodowym a tym od- tamem socjalizmu, który skupiał się wokół Józefa Piłsudskie- go, były poprawne. Zdarzały się wzajemne prasowe polemiki, były nawet napaści, ale równoległe było wiele przykładów robo- czej współpracy. Ostrzegano się nawzajem przed prowo- kacjami policji, informowano o niebezpieczeństwie z jej strony, współpracowano nawet przy transporcie bibuły. To się jednak skończyło po roku 1905, kiedy w pełni ujawniła się skala rozbieżności politycznych, a równoległe nasiliła rywalizacja – zostawiając to PPS. – rozwijana konspiracji w środowi- sku robotniczym, zostawiając to PPS. W czasie rewolucji to się załamało – obie strony starały się wejść na obszar dotąd pozostawiany do dyspozycji rywala. Doszło do starć bojówek, nawet z bronią w rękę, a resentymenty wyrosłe na tym tle żyły później własnym życiem. Sytuacja ta skądinąd nie doprowadziła do zupełnego przekreślenia współpracy między środowiskami narodowymi i socjalistycznymi, chociaż ograniczyła jej skalę. Jan Molenda w swej książce *Piłsudzczy i narodowi demokraci w czasie I wojny światowej* w bardzo elegancki sposób pozbierał te wszystkie przykłady świadczące z jednej strony o rywalizacji, a z drugiej o utrzymywaniu przynajmniej roboczych kontaktów, które nie byłyby możliwe bez minimum wzajemnego zaufania.



B.P. – Ugrupowania polityczne mają swoich liderów, więc może to są też kwestie personalne?

K.K. – Istotnie, to nie abstrakcyjne programy się ścierają, ale ludzie. Jeśli jednak zanalizuje się wzajemne relacje Romana Dmowskiego z jednej strony i Józefa Piłsudskiego z drugiej, to wbrew legendzie, praktycznie po rok 1920 były one dobre. Jeszcze w trakcie działalności Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu, także w pierwszych dwóch latach niepodległości, Dmowski starał się – co prawda z dość ograniczonym powodzeniem – wpływać na kierownictwo narodowej demokracji w kraju w kierunku budowania kompromisu z Piłsudskim.

Do rozejścia się dróg doszło za sprawą dwóch istotnych zdarzeń. Pierwszym była wyprawa kijowska, której Dmowski zasadniczo nie akceptował, uważając ją za zbyt ryzykowną. Drugim zdarzeniem, o wiele bardziej spektakularnym i trwalszym, jeśli idzie o ugruntowanie antagonizmu i przeniesienie go na płaszczyznę osobistą, był przewrót majowy.

B.P. – To już późniejsze lata.

K.K. – Późniejsze, ale decydujące. To, co Piłsudski zrobił, w pojęciu Dmowskiego przekraczało skalę dopuszczalnego ryzyka, na które mógł odważyć się polski polityk.



J.Ż. – Zanim dojdziemy do tamtego okresu, chciałbym jeszcze zatrzymać się nad tym pierwszym i drugim dziesięcioleciem aktywności politycznej pokolenia „niepokornych”, czyli na latach 80. i 90. XIX stulecia, kiedy aktywność organizacyjna Jana Ludwika Popławskiego, Zygmunta Balickiego i Romana Dmowskiego była największa. Do tego okresu i do tych postaci odwoływały się następne generacje narodowców (aż do „czwartego pokolenia”, jak je nazwał Wojciech Wasiutyński, analizując rozwój ruchu narodowego. Robił to z perspektywy emigracji po 1945 r.). Najistotniejsze jest to, by powtórzyć za twórcami ruchu narodowego, że ich ówczesna nowoczesność myślenia politycznego była wpisana w hasła, za którymi kryła się bardzo konkretna treść: wszechpolskość i wszechstanowość. Wszechpolskość oznaczała myślenie kategoriami nie zaborowymi, ale interesu całego narodu, który znalazł się w trzech odrębnych strukturach państwowych. Wszechstanowość oznaczała, że ruch narodowy widział siebie jako reprezentanta całego społeczeństwa, całego narodu. Należy zerwać z tradycją Rzeczypospolitej wielu narodów, ale jednej warstwy – szlachty.

B.P. – Jakimi posłużono się metodami?

J.Ż. – Efektem myślenia w kategoriach wszechpolskości i wszechstanowości było utworzenie, szczególnie w latach 90. XIX wieku, całej mozaiki instytucji, struktur organizacyjnych – poczynając od Stronnictwa Demokratyczno-Narodowego i Towarzystwa Oświaty Narodowej, a kończąc na towarzystwie, które zajmowało się unitami na Podlasiu. Powstały też organy prasowe tych struktur, przede wszystkim „Polak”, który docierał do wszystkich warstw ludowych. Miało to służyć wypracowaniu modelu nowoczesnego narodu, świadomego celu, którym było odzyskanie niepodległości. I jeszcze jedno – ówcześni przywódcy ruchu próbowali dokonać syntezy dziewiętnastowiecznego dorobku Polaków. Odrzucając nurt ugody, chcieli przeanalizować to, co dobre w polskim romantyzmie i pozytywizmie. Ciekawą pracą na ten temat – o ideologii „Przeglądu Wszechpolskiego” – napisał swego czasu mało znany polityk, czyli Klaudiusz Hrabek. Wykazał, że ruch narodowy czerpał z romantyzmu, z Adama Mickiewicza, szczególnie z *Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego*. Była to lektura wręcz obowiązkowa dla tego pokolenia. Czerpano też z dorobku pozytywistycznego, z prac Kazimierza Promyka, o szerzeniu oświaty w warstwach ludowych.

K.K. – Spektakularny – do pewnego momentu – był sukces środowiska, które startowało z niskiego pułapu. Jeszcze w początkach XX wieku tworzyło je zaledwie kilkaset osób,

skupionych w obrębie Ligi Narodowej. Sukces wziął się stąd, że tych kilkaset osób stanowiło elitę polityczną. To byli ludzie bardzo zdolni i przekonani o tym, że ci wszyscy, którzy dotychczas dążyli do jakiegoś postępu w sprawie polskiej, szli po złych drogach, że trzeba spróbować innych rozwiązań. I w tej rozpaczliwej sytuacji, w jakiej się Polska – czy też to, co z niej zostało – znalazła, doszli do przekonania, że każdy środek jest dobry, żeby osiągnąć cokolwiek. Inaczej niż w przypadku ugodowców, uważali oni, że jeżeli się coś osiągnie, to nie można w żadnym wypadku powiedzieć „dość”. Trzeba w tym widzieć instrument do dalszego postępu, punkt wyjścia do dalej idących żądań.

Nie jestem jednak pewien, czy należy dopatrywać się elementów jakiejś struktury myślowej, jakiegoś systemu politycznego w tym, co mogło wynikać zwyczajnie z żywiołowego dążenia do osiągnięcia postępu w sprawie polskiej – ujawnianego przez grupę ludzi zdolnych, energicznych i wówczas jeszcze relatywnie młodych. W moim przekonaniu elementy doktryny narodowej kształtowały się właściwie żywiołowo. Jeśli chodzi o relacje między dorobkiem polskiego romantyzmu a tym, co zaczerpnął z niego rodzący się ruch, to jest w tym względzie pewna tradycja historiograficzna, która upatruje w narodowej demokracji przejaw reakcji antyromantycznej. Nie jest to ściśle, gdyż ruch czerpał z romantyzmu – chociaż mam też wątpliwości co do tej części przekazu Hrabyka, gdzie wyprowadza on daleko idące wnioski z *Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa*.

B.P. – A jednocześnie nie traci z pola widzenia tego, co powinny uczynić przyszłe pokolenia.

K.K. – Oczywiście. Przyszłość możliwa będzie w takim tylko zakresie, w jakim pokolenie współczesne dorobku przeszłości nie roztrwoni. O jeszcze jednej rzeczy trzeba koniecznie powiedzieć, jeśli się mówi o tym środowisku i drodze, którą ono przeszło. Nie tylko naród jest ciągiem pokoleń, odnosi się to także do ruchu narodowego. Mimo sympatii dla Wasiutyńskiego – jego diagnoza, zawarta w stwierdzeniu, że istnieje „czwarte pokolenie”, okazała się mylna. W jego pojęciu „czwarte pokolenie” to nie byli działacze emigracyjni, lecz szeregowi działacze „Solidarności” spoza Warszawy i spoza kręgu dostrzeganego i cytowanego w „Tygodniku Solidarność” czy przez zagranicznych dziennikarzy. To byli ci, którzy instynktownie ujawniali sympatię do haseł narodowych, idei narodowej i przywiązanie do nauki Kościoła. To było „czwarte pokolenie” w opinii Wasiutyńskiego.

J.Ż. – Ale on patrzył na nie z perspektywy emigracyjnej...

K.K. – To prawda. Ale była to w znacznej mierze projekcja tego, co chciał widzieć. „Trzecie pokolenie” to było pokolenie wojenne. Natomiast sam Wasiutyński uważał się za reprezentanta „drugiego pokolenia” i widział nici, które go wiązały z „pokoleniem pierwszym”, z najstarszym pokoleniem przywódców narodowo-demokratycznych. W młodości, w latach 30. przedstawił je, opisując sylwetki „endeków” starszego pokolenia jako figury z jakiegoś lamusa: panów w wysokich kołnierzykach (które nazywał *Vatermörder* – mordercy ojców), cylindrach i ciemnych garniturkach. Wtedy to była dla niego przeszłość. Sam uważał się za działacza katolickiego, dla którego nie przynależność do wspólnoty narodowej – choć oczywiście bardzo ważna – wyznacza centrum systemu ideologicznego, lecz poczucie identyfikacji z Kościołem.

STARCIE Z „SOCJAŁAMI”



W.M. – Tym, co w bardzo istotny sposób odróżniało obóz narodowy czy „endecję”, szczególnie wczesną, od innych ugrupowań politycznych – zarówno tych z prawa, które były za ugodą, ale też i tych z lewa, szczególnie od PPS i SDKPiL – był stosunek do Rosji. Dmowski, od zarania jego aktywności politycznej, od słynnego strajku na cesarskim Uniwersytecie Warszawskim, był przeciwnikiem solidaryzmu polsko-rosyjskiego. Ten strajk Dmowski stłumił właśnie fortelem i podstępem – najpierw stanął na jego czele, głosząc hasła jedności walki polskich studentów i studentów rosyjskich, a następnie powiedział: idziemy do domu, jutro będziemy walkę kontynuować. Żadnej kontynuacji oczywiście nie było, strajk upadł. Dmowski uważał, że Polska i Polacy mają zupełnie inne cele niż Rosjanie. Polacy mogą prowadzić walkę z Rosją i walkę z rządem rosyjskim, z carem, wyłącznie na własny rachunek i na własne konto. Przyczyną wystąpienia narodowej demokracji przeciwko rewolucji 1905 r. nie było to, że robili ją socjaliści, lecz to, że ostanieli oni i wspierali rewolucję w samej Rosji. Uważał, że należy prowadzić walkę na własny rachunek, a im dłużej na terenie Królestwa Polskiego i ziem zabranych będzie spokój, nie będzie żadnych wystąpień antyrządowych i rewolucyjnych, tym większą siłą i znaczenie w walce politycznej na obszarze cesarstwa Polacy zyskują. Dawał przykład Finlandii, która właśnie w tym okresie zyskała autonomię.

Dmowski przestrzegał przed rewolucją w Polsce i przeciwstawiał się jej również dlatego, że deprawowała ona ludzi. Wraz z rewolucją, o czym nie chce się dziś pamiętać, zalała Królestwo Polskie plaga pospolitej przestępczości. Napady na banki, sklepy i fabryki były codziennością. Nikt już nie wiedział, czy napastnicy to przestępcy, czy „bojowcy” socjalistyczni, zresztą ta granica zacierała się, bo często łatwe pieniądze były większym bodźcem niż polityczne manifesty. Ponadto rewolucjoniści nie interesowali się „tłumem” – przypomnijmy masakrę na placu Grzybowskim 13 listopada 1904 r., gdy zginęło kilkadziesiąt osób.

B.P. – Jak do tego doszło?

W.M. – Ukryci w tłumie wiernych wychodzących z kościoła Wszystkich Świętych z niedzielnej Mszy św. bojowcy PPS zaczęli strzelać do kozaków. W odpowiedzi rosyjscy żołnierze strzelali do kogo popadnie, a kozacy szarżowali na bezbronnych ludzi. Mało to rycerska forma walki, ale taką taktykę stosowali zwolennicy rewolucji. Dla nich wierni wychodzący z kościoła to była tylko „kterykalna masa”.

Warto tu przywołać wypadki w Łodzi w roku 1906 i 1907. Doszło wtedy do walk między socjalistami i „esdekami” a zwolennikami Ligi Narodowej. Chodziło o tworzący się w Łodzi Narodowy Związek Robotniczy, już wówczas silny. Przyczyna tamtego konfliktu była bardzo znamieną dla wszelkich rewolucji. Socjaliści uważali, że tylko oni mogą kierować ciemnym motłochem robotniczym, który nie zdaje sobie sprawy z tego, o co walczy i jakie są jego cele. Osoby, które starały się temu przeciwstawić, były po prostu zabijane. Doszło do zamachów politycznych, zarówno na działaczy NZR, jak i tworzących się chrześcijańskich związków zawodowych. „Endecja” powiedziała temu „nie”. Łódź była dla socjalistów ośrodkiem bardzo istotnym propagandowo. Kontrakcja, a właściwie samoobrona „endecji”, spotkała się ze zdwojonym atakiem. Trwała eskalacja wzajemnego terroru, dochodziło do strasznych rzeczy – ludzi zabijano z pistoletów, a czasami po prostu nożami. Zdarzyło się nawet, że schwyta-

mu na ulicy działaczowi NZR bojówkarze SDKPiL zwyczajnie ucięli głowę! W dzielnicy Bałuty toczyły się regularne bitwy, non stop trwała strzelanina i tylko raz na dobę uzgadniano dwie godziny zawieszenia broni, bo kobiety musiały pójść po wodę i chleb.

K.K. – Stosunek do Rosji i stosunek do rewolucji w czasie próby, jaką były lata 1904–1905, zanim ona na dobre rozszalała się w Rosji i Królestwie, nie są tożsame, choć wchodzą ze sobą w związek. Dmowski, ale nie tylko on i dotyczyło to nie tylko ruchu narodowo-demokratycznego, bo optyka Piłsudskiego nie była inna, widział w tym, co się dzieje, przejaw kryzysu państwa rosyjskiego i zastanawiał się, jak to rozegrać. To był pomysł, żeby rewolucja pustoszyła centrum Rosji, a nie jej obrzeża. Dotyczyło to zachodnich guberni, Królestwa i Finlandii. Z Finami Liga próbowała porozumieć się przed nasileniem rewolucji.

B.P. – Na czym polegała ta logika i korzyści z zachowania postawy wyczekującej?

K.K. – To był też zarzut, który obie partie socjalistyczne stawiały Dmowskiemu. Tymczasem chodziło o to, by pokazać, że w tym kraju spokój może być zapewniony bez udziału rosyjskiego państwa. Nie był to – wbrew temu, co głoszone – przekaz adresowany do Rosjan. To był przekaz adresowany do mieszkańców Polski. Chodziło tu o zademonstrowanie możliwości zorganizowania własnego państwa, w tym tego, że sami Polacy bez obcej pomocy są zdolni utrzymać porządek. Ta kalkulacja miała oczywiście słabe strony, m.in. groziła rozpętanem antagonizmów wewnętrznych na taką skalę, że środowisko narodowe, biorąc pod uwagę jego ograniczone siły, nie było w stanie nad nimi zapanować.

ROSJA I ROSJANIE

K.K. – Istnieje broszura Dmowskiego, w której autor stara się dowieść, że na ziemiach Polski stykają się dwie cywilizacje – cywilizacja zachodnia i cywilizacja wschodnia. Granica między nimi jest linią starcia między kulturą prezentującą wyższe wartości i zupełnym barbarzyństwem. Opis jest ilustrowany przykładami, od których robi się zimno. Ta linia frontu między cywilizacjami przebiega przez szkołę, szkolne klasy. Dzieci pochodzące z rodzin reprezentujących zachodnią kulturę są demoralizowane w dzikich przybytkach utworzonych przez barbarzyńskie państwo. Są tam opisy upijających się nauczycieli, oszukujących sprzedawców, pozbawionych elementarnej kultury dygnitarzy, a także sugestia, że jeśli jakiś Rosjanin zachowuje się przyzwoicie, to musi być człowiek bardzo młody, po kilku latach bowiem na pewno mu to przejdzie. Dmowski nawet przywołał rosyjskie przysłowie – *człowiek so wremieniem oswołocziwajetsa* (człowiek z wiekiem zamienia się w bydlę), co miało w jego pojęciu odzwierciedlać tę zasadniczą różnicę, jaka istnieje między mentalnością zachodnią, w tym także i polską, a wschodnią, czy po prostu rosyjską (kiedyś przeproszał muzulmanów, że nie chciał ich obrażać, bo dla niego słowo „wschodni” oznacza właśnie rosyjski). Człowiek Zachodu, nawet jeśli jest w gruncie rzeczy łajdakiem, to ukrywa to, bo uważa, że nie wypada mu tego okazywać. Ciśnienie więzów społecznych powoduje, że nawet będąc człowiekiem nieciekawym, stara się zachowywać przyzwoicie. W Rosji jest zupełnie inaczej. Ludzie mogą zachowywać się przyzwoicie, póki są młodzi. Płynie to wyłącznie z takich dobrych odruchów i wyłącznie od tych, którzy takie dobre odruchy zdradzają. Gdy człowiek styka się z trudnościami życia, to wyzbywa się skrupułów, zachowuje się coraz gorzej, ujawniają się jego dzikie instynkty.

Przedstawiłem to, żeby zilustrować ogrom wstrętu, jaki Dmowski odczuwał do Rosjan, czemu dawał wyraz publicznie w różnych sytuacjach. Kiedy, przy innej okazji, pisał np. o skutkach rządów rosyjskich, wskazywał na alkoholizm, plagę nożownictwa na przedmieściach, a także na to, że ludzie się nie myją. Gdyby próbować te poglądy Dmowskiego rzucić na szersze tło – można powołać się na tradycję polską, tę jeszcze dziewiętnastowieczną – to emocje, tradycja antyrosyjska, były podzielane przez znaczny odłam ówczesnej opinii publicznej. Tym, co wyróżniało Dmowskiego, było to, że starał się oddzielić od nich bieżące dyrektywy polityczne.

WIELKA WOJNA I ZMIANY NA MAPIE

K.K. – Na skali niechęci Dmowskiego Rosjanie zajmowali bezapelacyjnie pierwsze miejsce. Jak wiadomo, Dmowski nie darzył sympatii również Żydów – mimo to wśród wielu jego wypowiedzi o Żydach można znaleźć i takie, które nie pasują do stereotypowego wyobrażenia o jego poglądach. Np. tam, gdzie się wypowiada o żydowskiej pracowitości czy żydowskiej rodzinie – i mówi, że w tym zakresie moglibyśmy się od nich wiele nauczyć. Albo kiedy z sympatią, np. w *Polityce polskiej i odbudowaniu państwa*, pisał o poczynaniach tych środowisk żydowskich, które dążyły do utworzenia własnego państwa w Palestynie. W jego dużej spuściźnie publicystycznej, powiększonej – co jest w tym wypadku ważniejsze, bo to jest świadectwo bardziej osobiste – o listy, ciężko jest szukać podobnych wypowiedzi o Rosjanach, np. o rosyjskiej rodzinie czy rosyjskiej pracowitości. Nie istnieją tego rodzaju pozytywne oceny. Praktycznie można wskazać jedno zdanie, w pisanej po I wojnie, w specyficznych warunkach, relacji zamieszczonej w *Polityce polskiej i odbudowaniu państwa*. We fragmencie dotyczącym rewolucji bolszewickiej napisał, że tej katastrofy Rosji nie przewidział i sobie nie życzył. Ale z rozmów, także listów pisanych w ostatnich latach I wojny światowej, wynika co innego – że właśnie cieszył się z rozpadu rosyjskiej państwowości, co więcej, budował na nim plany polityczne. Jak widać, po latach nie był szczery. Ogólnie zaś stosunek Dmowskiego do Rosji dowodzi, jak dalece to, co wyznaczało jego poglądy prywatne, odbiegało od oficjalnej linii politycznej środowiska.

B.P. – Dlaczego?

K.K. – Wynikało to oczywiście z rozkładu sojuszy, jakie wytworzyły się przed I wojną światową, kiedy Rosja była sojusznikiem państw zachodnich. Przeciwno niej występowały, w wytworzonym podziale Europy na dwa bloki, oba państwa niemieckie i w przypadku konfliktu triumf tych państw oznaczał dalszy podział ziem polskich, natomiast ich przegrana potencjalnie kryła w sobie perspektywę zjednoczenia ziem polskich i przekreślenia przynajmniej tego skutku upadku dawnej państwowości. W dalszej perspektywie sprawa polska miałyby już tylko jednego przeciwnika, a nie trzech, jak w całym XIX stuleciu. Można też powiedzieć, że aby wojna wybuchła, musiałaby się najpierw zacząć, i w tym względzie ówczesne pokolenie dysponowało bardzo specyficznym doświadczeniem – otóż podejmowane w ciągu XIX stulecia próby powstań, czasem wieńczone powodzeniem, czasem nie, prowadziły do działań jałowych z punktu widzenia postępu w realizacji programu odbudowy własnego państwa. Efektem tych działań były nie tylko klęski militarne, ale także niszczenie politycznej koniunktury, wyrażającej się w odbudowie – pod wpływem obaw przed polską irredentą – więzów sojuszniczych i współpracy między wszystkimi państwami zaborczymi. Recepta Dmowskiego

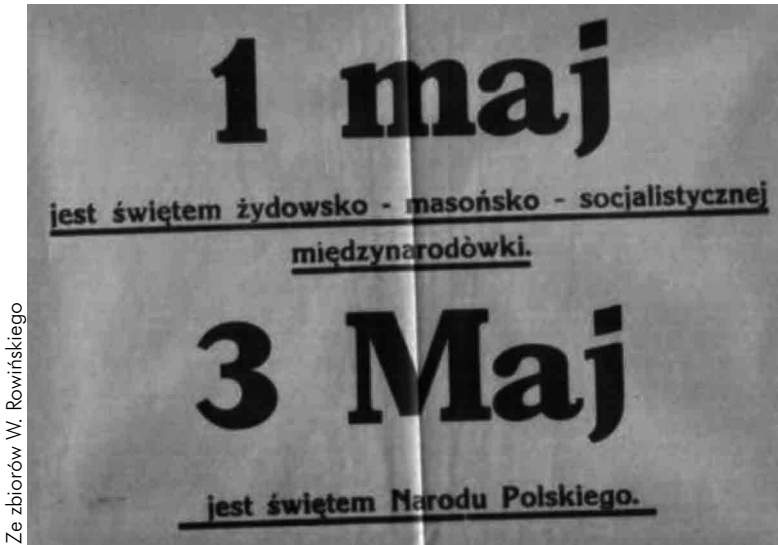
sprowadzała się do ukrycia celów politycznych i (ze złą wolą) sugerowania Rosjanom zamiaru współpracy, którego zwyczajnie nie było... Jest oczywiste, że po wojnie niespecjalnie można się było do takiej makiawelicznej kalkulacji przyznać. To nie miało sensu z kilku powodów. Po pierwsze, to niezbyt ładnie brzmi, jeśli się ujawni, że oszukiwaliśmy naszych sprzymierzeńców, bo uważaliśmy ich za wrogów. Tego powiedzieć nie można było choćby z uwagi na aktualnych sprzymierzeńców Polski, którzy mogliby zwątpić w szczerość jej intencji. Drugi powód, chyba ważniejszy, był taki, że z perspektywy dwudziestolecia międzywojennego, nie sierpnia 1939 r., ale całego dwudziestolecia, Rosja sowiecka nie jawiła się jako największy problem polityki zagranicznej. Zawarła z Polską układ w Rydze, w którym uznała jej granicę wschodnią. Pamiętając o dwuznacznościach zawartych w stanowisku rosyjskim, trzeba zdawać sobie sprawę, że sąsiad zachodni w tego rodzaju dwuznaczności w ogóle się nie bawił, tylko otwarcie kwestionował nasze granice. Wytworzyła się więc sytuacja, że zagrożony wydawał się jeden tylko kierunek, w dodatku zaś Rosja była krajem izolowanym w świecie, natomiast Niemcy, zanim doszedł do władzy Hitler, takim izolowanym krajem nie były. Nie można mieć za złe politykom, że nie chcą kultywować resentymentów, bo uważają, że w danym momencie te resentymenty nie służą realizacji bieżących celów politycznych. Nie tylko Dmowski i brzydki „endecy” tak czynili w stosunku do Rosji.

B.P. – Dmowski znalazł się w Wersalu. Polska odzyskała niepodległość. Cel został osiągnięty. Zaczęły się poważne problemy.

K.K. – W obrębie praktycznie całego polskiego życia politycznego zjawiskiem dominującym były bardzo wygórowane nadzieje związane z odzyskaniem niepodległości i przekonanie, że państwo rozwiąże wszystkie problemy. Uważano, że zaborcy tłumili energię społeczną, a kiedy będziemy w stanie sami się rządzić, nastąpi szybki rozwój gospodarczy i rozwiązanie wszystkich problemów. To zjawisko z największą siłą występowało akurat na zewnątrz endecji. Skala idealistycznych wyobrażeń w obrębie obozu narodowego była mniejsza: prof. Wapiński napisał, że endecy nie wyobrażali sobie, żeby państwo polskie było inne niż pozostałe kraje zachodnie. Miało być podobne... ale i to ziściło się tylko częściowo. Jeśli idzie o struktury polityczne, to wyobrażano sobie, że będzie ono odpowiadać współczesnym krajom zachodnim – aparat państwowy ograniczony do minimum, gospodarka rozwijająca się według zasad wolnorynkowych, system reprezentacyjny. Politycznie Polska miała być związana z Zachodem. W czasie I wojny światowej Dmowski liczył, że strategicznym partnerem Polski będzie Wielka Brytania, ale to okazało się niemożliwe w trakcie konferencji pokojowej, i stanęło na tym, że będzie nim Francja. Kluczową sprawą były optymistyczne wyobrażenia na temat szybkiego rozwoju Polski, pozornie uzasadnione, bo mieliśmy węgiel, rynek rosyjski za granicą... Dmowski, polityk zasadniczo stąpający po ziemi, tutaj dawał się ponieść optymizmowi i marzył, że za dwadzieścia lat będzie około sześćdziesięciu milionów Polaków i – jak pisał – nie będziemy się wtedy bać nikogo oprócz Pana Boga. Wbrew tym nadziejom odbudowane państwo jednak okazało się placówką zagrożoną, silnie podminowaną przez wewnętrzne walki i antagonizmy, zagrożoną z zewnątrz i od wewnątrz. Jeśli chodzi o nadzieje na szybki rozwój społeczny i gospodarczy, to lądowanie było jeszcze twardsze. W skali całego okresu międzywojennego, i to nie tylko w Polsce, przeważały tendencje stagnacyjne w gospodarce. Pytanie, które się zwykle w tej sytuacji stawia – kto winien? To dobra pożywka dla rozmaitych fobii. Tak było w przypadku różnych środowisk politycznych, przy czym oczywiście w zależności od tego, jakie to było środowisko polityczne, winnego szukano gdzie indziej.

WOBEC MNIEJSZOŚCI ŻYDOWSKIEJ

K.K. – W obrębie środowisk konserwatywnych zaraz po wojnie uważano, że wszystkiemu winne są „liberalne mafie”, czyli inaczej mówiąc, masoneria. W przypadku piłsudczyków i części inteligencji liberalnej mówiono, że winna jest „endecja”, czasami mówiono o obcych agenturach w tym kontekście. W środowiskach narodowych uważano – i tutaj oddziaływały resentymy z czasów konferencji pokojowej – że winni są bolszewicy i Żydzi. W przypadku bolszewików oddziaływały resentymy z roku 1920. A jeśli idzie o Żydów, to zaważyły i trudności, z którymi zetknęła się delegacja polska w czasie I wojny światowej, i późniejsze kojarzenie Żydów z bolszewizmem, i względy natury ekonomicznej. Ludność żydowska koncentrowała się w miastach, w znacznej mierze w grupie aktywnej zawodowo. Była widoczna w handlu, trudniła się pośrednictwem. Można powiedzieć, że np. antagonizm między wsią a pośrednikiem handlowym jest naturalny. Chłop złości się na pośrednika, ale jeśli jest on Żydem, to powstaje grunt dla antagonizmu o zupełnie innym charakterze. Gdyby zamiast Żydów w roli pośredników występowali np. Niemcy, Węgrzy, Czesi – byłoby podobnie.



SN występowało przeciwko obchodom socjalistycznego święta 1 Maja.

Tego rodzaju napięcia nakładały się na istniejące wcześniej resentymy społeczne, co prowadziło do zaostrażania się poglądów środowisk narodowych. Niełatwo powiedzieć, w jakiej mierze był to świadomy wybór dokonany przez jego kierownictwo, a w jakiej efekt sytuacji, nad którą nikt nie panował, a której źródła tkwiły generalnie w sferze ekonomicznej. W każdym razie dokonał się tu proces, który w znacznej mierze określił kierunek rozwoju, jeżeli nie całego środowiska, to przynajmniej znaczących jego części. Środowisko mogło sobie zyskać klientelę polityczną w obrębie tych grup, które odczuwały żywo konkurencję żydowską, np. w handlu. Jeśli idzie o studentów wyższych uczelni – to była grupa newralgiczna, miała tworzyć przyszłą inteligencję. Czy było przypadkiem, że grono późniejszych przywódców Młodzieży Wszechpolskiej stanowili przede wszystkim młodzi prawnicy i młodzi lekarze? Statystyki narodowościowe na wyższych uczelniach wskazują, że była to grupa, któ-

ra szczególnie silnie obawiała się konkurencji na przyszłym rynku pracy. Nie pamiętam już, gdzie natrafiłem na wypowiedź młodego prawnika, który wskazując na korzyści wyphywające z *numerus clausus*, gdyby zostało wprowadzone, podkreślał, że przyniosłoby skrócenie czasu aplikacji zawodowej i powiększyło popyt na usługi, które mógłby świadczyć jako młody prawnik. Sprawa została w tym momencie całkowicie pozbawiona swej otoczki mitycznej i ideologicznej, sprowadzona do tego, co rzeczywiście ludzie bardzo obchodziło.

Znamienne, że w tej propagandzie praktycznie zupełnie niewidoczny był element religijny, do tego środowiska narodowe się nie odwoływały. A przecież, gdyby zanalizować ogólny kierunek jego ewolucji, to podążało ono od „nacjonalizmu integralnego” w kierunku tego, co dziś się nazywa „integryzmem katolickim”. W tym kontekście wskazywano na pojęcie narodu nie na jako na rozstrzygające kryterium światopoglądowe, tylko na jako największe dobro, jakie mamy w życiu doczesnym – tu, na ziemi. Zaznaczano to, przypominając, że poza ziemią są rzeczy ważniejsze.

B.P. – To ważne, bo przecież Polska była krajem wielonarodowościowym i wielo-wyznaniowym.

K.K. – Tak, to wszystko działo się w kraju wielonarodowościowym i biednym, gdzie antagonizmy siłą rzeczy zaznaczają się mocniej niż w krajach zamożnych, które mają wystarczające zasoby, by z takimi problemami sobie radzić. W dodatku Polska była placówką zagrożoną, a obawy o losy odzyskanej państwowości były powszechne, to zaś rodzi różne fobie. Istniały zatem – w obrębie środowisk narodowych – czynniki sprzyjające ewolucji poglądów i zachowań w kierunku skrajnym. Pytanie, które należy zadać, to – jaka była waga tych czynników i czy musiały one decydować? Tu trzeba wskazać na instytucję Sejmu, który wymusza dogadywanie się ze sobą i ucieranie poglądów, nawet bardzo różnych. Przy tym wszystkim, co powiedziałem o narastaniu w obrębie środowiska emocji antyżydowskich, na dwie rzeczy trzeba zwrócić uwagę. Co prawda już w końcu 1922 r. Młodzież Wszechpolska podjęła uchwały, w których postulowała wprowadzenie *numerus clausus* w szkołach akademickich, i w następnym roku rzecz weszła na forum Sejmu. Charakterystyczne jest jednak to, jak weszła. Referujący sprawę poseł, Władysław Konopczyński, wybitny historyk, poskarżył się, że zrobiono z niego wariata, ponieważ na decydującym głosowaniu jego własny klub nie stawiał się w komplecie i wniosek przepadł. Chodziło o to, żeby mieć alibi wobec młodzieży akademickiej, że coś zrobiono, a jednocześnie, żeby nie przeforsować w sejmie ustawy, z którą potem mogą być poważniejsze kłopoty na arenie międzynarodowej.

B.P. – Taka strategia jest dobrze znana. Także dzisiaj.

K.K. – Tak działa sejm i stronnictwo sejmowe. Łagodzi skrajne tendencje, także przez kanalizowanie kontrowersyjnych inicjatyw. Drugi przykład to podejmowane w latach 20. przez kierownictwo Związku Ludowo-Narodowego próby ugody politycznej z sejmową reprezentacją społeczności żydowskiej. Dmowski był tu sceptyczny, ale w owym czasie w ZLN to nie on decydował, ale Stanisław Grabski. Problem analizował w swojej monografii historyk wrocławski, Mieczysław Sobczak, pisząc m.in. o powtarzających się sondażach oraz intencji osiągnięcia porozumienia. Z opisu wynika, że wina za ostateczne fiasko podjętych rozmów rozkłada się na obydwie strony – po obu bowiem stronach silne były tendencje do czerpania politycznej siły z podsycania konfliktów, a nie z tego, żeby osiągnąć kompromis. Nie można jednak wykluczyć,

że gdyby system demokratyczny w Polsce potrwał dłużej, to korzyści z wymuszenia współpracy byłyby jednak większe niż z ciągłego mobilizowania elektoratu do walki. Można to robić, gdy zbliżają się wybory albo kiedy taka mobilizacja jest potrzebna z innych względów.

J.Ż. – Istotnie, dla Romana Dmowskiego i jego zaplecza, które znajdowało się w Paryżu, w Komitecie Narodowym Polskim, doświadczenie siły oddziaływania i potęgi politycznej społeczności żydowskiej w znacznej mierze zaważyło na negatywnej ocenie późniejszych możliwości powstania jakiejś płaszczyzny porozumienia między Polakami a Żydami na terenie II Rzeczypospolitej. Dmowski miał świadomość, że przede wszystkim Żydzi amerykańscy nie pozostawią Żydów w Polsce bez należytej opieki dyplomatyczno-politycznej. Na tym polegała siła środowiska żydowskiego, że w dużej – jego zdaniem – mierze los Polski na konferencji wersalskiej zależał od tego, w jaki sposób Polacy ustosunkują się do problemu polsko-żydowskiego. W perspektywie Dmowskiego tzw. traktat mniejszościowy podpisany wraz z „dużym” traktatem wersalskim był wymyślony przez społeczność żydowską nie po to, żeby bronić wszystkich mniejszości narodowych znajdujących się Polsce, ale jedynie i wyłącznie po to, żeby bronić interesów mniejszości żydowskiej. Ten akt wtrącania się do wewnętrznych spraw polskich w dużej mierze zaważył na podtrzymywaniu przez cały okres II RP przez obóz narodowy niechęci do mniejszości żydowskiej. Na to natożyła się kolejna, bardzo istotna kwestia, podniesiona pod koniec roku 1922 przez obóz narodowy – powołana, ale systematyczna krytyka parlamentaryzmu. I choć narodowa demokracja zaważyła na kształcie konstytucji marcowej, to zapał do podtrzymywania parlamentaryzmu bardzo szybko opuścił narodowych demokratów.

K.K. – Co do starcia z politykami reprezentującymi społeczność żydowską na Zachodzie, to konflikt ten był jednak trzymany pod kontrolą. Dmowski rzeczywiście rozmawiał na Zachodzie z ludźmi, którzy reprezentowali społeczność żydowską (czy takimi, których uważał za sprzyjających Żydom), ale nie przesądzało to o zdolności szukania rozwiązań kompromisowych. W Anglii np. w czasie I wojny światowej rozmowy z Żydami prowadził Stanisław Kozicki, a i sam Dmowski w Stanach Zjednoczonych krótko przed zawieszeniem broni rozmawiał z reprezentacją żydowskich środowisk z Ameryki. Z tego, co wiadomo, wynika raczej, że szukał w nich sprzymierzeńców, niż, że traktował ich jako wroga. Proponował im poparcie polskiego programu terytorialnego, sugerując, że jeżeli Polska odrodzi się w takich granicach przedrozbiorowych (wraz z „wyrównaniem” granicy zachodniej), to zniknie bieda, a wraz z nią przyczyny antagonizmów – a jakby nie znikły od razu, to on sam dopilnuje, żeby ten proces nieco przyspieszyć i wyrugować z życia polskiego antysemityzm.

J.Ż. – Strona żydowska poszła dalej i zażądała, żeby Dmowski wyraził to jednoznacznie na piśmie i przekazał to do wykonania stronie polskiej, co było dość karkołomne, bo Dmowski nie miał takich możliwości. Była to wyraźna próba zagwarantowania przez stronę polską prawa do autonomicznego rozwoju społeczności żydowskiej. Miał to być warunek podjęcia dialogu na temat uznania państwa polskiego.

K.K. – Było kilka żądań. Było i takie, żeby odwołać bojkot z roku 1912 i przeprosić za niego. Nie były to czasy medialnych przeprosin dokonywanych przez liderów i Dmowski zwyczajnie nie zrozumiał wezwania, które do niego wystosowano. Było również żądanie, spełnione zresztą przez stronę polską, równouprawnienia Żydów jako obywateli i przyzna-

nia im praw politycznych, w tym wyborczych. Dmowski, a przedtem Kozicki zapewniał, że zamiarem Polski jest, aby wszyscy, którzy zamieszkują jej obszar, otrzymali prawa wyborcze. To, z różnych powodów, mogło być poddawane w wątpliwość przez stronę żydowską, jako że podczas wojny, krępowany umowami zawartymi z państwami Ententy, Komitet Narodowy Polski wydawał dokumenty tylko Polakom. Politycy polscy zapewniali swoich rozmówców, że stan jest przejściowy, oni zaś mogli w to wierzyć lub nie.

J.Ż. – Był jeszcze problem pogromowy, podnoszony przez społeczność żydowską. W 1919 r. amerykańscy Żydzi otrzymywali informacje, że na ziemiach polskich odbywają się pogromy, czym próbowano szantażować Dmowskiego. Żydzi amerykańscy za cenę uspokojenia nastrojów antyżydowskich gotowi byli poprzeć tworzenie państwa polskiego i jego uznanie.

K.K. – Trudno przecenić kwestię – nie tyle pogromów, ile informacji medialnych o nich – dla narastania resentymentu, wręcz poczucia wstrętu i nienawiści wobec Żydów, wśród tych polityków, którzy byli czynni w Paryżu. A jednak po pogromie we Lwowie ich ocena była jednoznaczna – stało się coś, czego powinniśmy się wstydzić. Najgłębsze oburzenie budziła świadomość, że w kategoriach ilościowych to, co działo się w Polsce, było zwyczajnie niczym w porównaniu z tym, co działo się na terenach objętych rosyjską wojną domową. A o tym media praktycznie milczały, kreując obraz Polski jako „kraju pogromowego”. Dziennikarze nie jeździli do Rosji, opisywali tylko sytuację polską. Z punktu widzenia polityka tego rodzaju stan jest nie do zaakceptowania, co przyczyniło się do narastania uprzedzeń wobec Żydów, którym Dmowski, Kozicki i inni działacze przebywający w Paryżu dawali wyraz także i później.

Jeszcze jedną rzecz chcę z wielką siłą zaakcentować. W moim przekonaniu to, co miało miejsce na salonach międzynarodowych, nie przesądzało jeszcze o późniejszej eskalacji wrogości, nie przesądziły o tej wrogości także zachowania społeczności żydowskiej w roku 1920. Mam na to dowód w postaci opublikowanego na przełomie 1922 i 1923 r. na łamach reaktywowanego „Przeglądu Wszepolskiego” artykułu Bohdana Wasiutyńskiego, zajmującego eksponowaną pozycję w kierownictwie obozu narodowego. W dużym, dwudziestokilkustronicowym szkicu – analizie problemu mniejszościowego – Wasiutyński pisał o różnych grupach i tym, co z dążeń tych grup wynika dla Polski. Żydów dotyczyło około 20 proc. tekstu. Trochę więcej było o Niemcach, ale najwięcej o sytuacji na Kresach, w tym przede wszystkim o Ukraińcach. Taka optyka była uzasadniona, jeśli wziąć pod uwagę zagrożenie zewnętrzne państwa.

Należało uwzględnić potrzeby tych grup nacisku, które wyłoniły się w obrębie obozu narodowego w związku z dochodzeniem do wpływów młodego pokolenia. Dla młodzieży studiującej głównym problemem mniejszościowym był ten, który widziała na ławkach w salach wykładowych – a w nich było tylko trochę Niemców i niewielu Ukraińców, czy Białorusinów. Można było nie brać stanowiska młodzieży pod uwagę tak długo, jak długo nie liczyła się ona w kierownictwie obozu narodowego. Poza tym dostrzeżono, że przewrót majowy został ogólnie ciepło przyjęty przez reprezentację mniejszości, a przez społeczność żydowską wyraźnie cieplej niż przez inne grupy.